



Dzieciństwo z ojcem pijakiem i przestępcą, rozwalone związki i porażki finansowe – Andrzej Cichocki przeszedł tyle, że dla więźniów jest wiarygodny.

Zbrodnia IWIARA

AGNIESZKA LITOROWICZ-SIEGERT

Miał to, o czym marzy większość z nas: świetną pracę, pieniądze, prestiż. Zrezygnował ze wszystkiego.

Mówili, że zwariował, a on porzucił karierę i poszedł opowiadać ludziom o Bogu. Wybrał miejsce specjalne – więzienie. Hollywoodzki scenariusz? Nie.

Prawdziwa historia Andrzeja Cichockiego. Człowieka, przy którym płaczą najwięksi twardziele.

Twój STYL: Był pan królem życia?

Andrzej Cichocki: Nawet tak o sobie mówiłem. W pewnym momencie nazywałem siebie mistrzem świata, panem życia. Sądziłem, że jestem szczęściarzem.

TS: To się pokrywało z prawdą?

AC: Nie. Dlatego zmieniłem drogę.

TS: Chciałabym wyobrazić sobie pana w momencie tej decyzji...

AC: Elegancki menedżer w średnim wieku. Ostro tyrałem w korporacjach i w końcu stałem się facetem ze swoich dziecięcych wyobrażeń. Miałem drogie garnitury i zegarek, dobry samochód i własną asystentkę.

TS: Jaki był chłopiec, który marzył o takim statusie?

AC: Niezbyt szczęśliwy. Z dzieciństwa pamiętam tylko dwa dobre lata. Te, kiedy mój ojciec miał wszyty esperal i nie pił. Po alkoholu robił się agresywny. Mama zabierała siostrę i mnie, uciekaliśmy z domu do babci albo do sąsiadów. Ojciec jest kluczową postacią w tej opowieści, choć nie był dla mnie autorytetem. A ja jako chłopak szukałem autorytetu i kogoś, kto mnie doceni. Chciałem na przykład pochwalić się tacie medalami. Trenowałem wielobój, w szóstej klasie miałem trzeci wynik w Polsce.

Ale ojciec tego nie zauważył. Po podstawówce zdałem egzaminy do technikum we Włocławku, zacząłem grać w koszykówkę – to też przeszło bez echa. W szkole średniej zacząłem się taty zwyczajnie wstydić. Rodzice rozwiedli się, ale się bałem: może on wyjdzie na przepustkę, przyjedzie pijany i będzie mnie szukał...

TS: Pana ojciec siedział w więzieniu?

AC: Tak. Kiedy zacząłem studiować prawo na Uniwersytecie Gdańskim, na drugim roku dostałem list z więzienia, w którym ojciec pisał, że potrzebuje mojej pomocy w zdobyciu pewnych dokumentów. Podał mi adres, miałem pojechać do Brodnicy. Znalazłem dom, zadzwoniłem, wyszła jakaś kobieta. Przedstawiłem się, a ona powiedziała: „Więc jest pan synem tego człowieka, który zamordował pana Czesława”. Wtedy się dowiedziałem, że ojciec zabił. Najpierw byłem wściekły, potem próbowałem wyrzucić go ze swojego życia, pamięci. Zająłem się robeniem kariery.

TS: Prawniczej?

AC: Nie. Odpuściłem sobie aplikację sędziowską, postanowiłem, że będę przedstawicielem handlowym. Jako sportowiec miałem proste podejście: żeby coś osiągnąć, muszę zasuwać na maksa. I tak robiłem. Po dwóch latach

zostałem dyrektorem w firmie produkującej meble w Rypinie, gdzie mieszkaliśmy. Wkrótce dyrektorem generalnym. Miałem 28 lat, złotą kartę kredytową. I wtedy odbiła mi „kolba”. Pomyślałem: mogę brać z życia garściami wszystko. Miałem już żonę i syna, ale wdałem się w romans. Małżeństwo się rozpadło, jednak dalej parłem do przodu. Zostałem dyrektorem w firmie w Pułtusku. I tu nastąpił pierwszy kryzys. Wpadłem w tarapaty finansowe.

TS: Stracił pan pracę?

AC: Nie od razu. Brałem kredyty. W domu zaciąganie długów było normalne – mama brała pożyczki, żebyśmy mogli przeżyć do pierwszego. A do mnie banki się pchały, przecież świetnie zarabiałem. Tylko że w końcu pracę straciłem, a długi zostały. Z takim bagażem wylądowałem w Warszawie. Na ulicy pod Domami Centrum łapałem potencjalnych klientów jako agent ubezpieczeniowy. Moją motywacją był syn Michał. Chciałem, żeby był ze mnie dumny. Inni sprzedawali po dwie polisy miesięcznie, ja – 12. Mówili do mnie: frajer, po co ci to. Ale oni po dwóch latach byli w tym samym miejscu, a ja zostałem dyrektorem regionalnym. Znowu kosztem życia osobistego. Wiązałem się z kobietami i rozstawałem. Relacje miały małe znaczenie.

FOT. MARCIN LOBACZEWSKI

Fot. Getty Images Polska

< TS: Z ojcem również?

AC: Tak. W tym czasie wyszedł z więzienia, ale nie miałem z nim kontaktu. Jedyne list napisałem do niego, gdy umarła mama. Miała 49 lat. Byłem pewien, że powrót ojca za kratki to tylko kwestia czasu. Tymczasem siostra przysyłała mi informacje: tata nie pije – rok, dwa lata, trzy. Dowiedziałem się, że pomaga innym alkoholikom w wychodzeniu z nałogu. Zaczęłem mu się przyglądać. W końcu przełamałem się i zaprosiłem go na Wigilię. Przyjechał. Obliczyliśmy, że nie siedzieliśmy przy jednym stole od 25 lat. Przy składaniu życzeń płakaliśmy obaj. Kiedy wtuliliśmy się w siebie, wiedziałem, że nie mam już do niego żalu, a on jakby mówił tym gestem „przepraszam”. Gdy odwozłem go do domu, okazało się, że mieszka w ruderze. Powiedziałem: nie będziesz tak żył, sprowadziłem go do Warszawy.

TS: Relacje zaczęły być ważne?

AC: Nie do końca. Celem wciąż było zarabianie pieniędzy. Dostałem znakomitą propozycję z PZU, zostałem tam szefem dystrybucji, miałem pod sobą pięć tysięcy ludzi. Wkrótce inna firma zaproponowała mi wejście do zarządu. To już był top.

TS: Kariera do pozazdrosczenia...

AC: Tylko że w pewnym momencie poczułem, że coś jest ze mną nie tak. Zauważyłem, że nie chce mi się wracać do domu. Kłamałem partnerce, że mam wyjazd służbowy, i meldowałem się w hotelu. Ale nie chodziło o inne kobiety. Po prostu chciałem być sam. Czasem chodziłem do kasyna i widziałem tam dobrze ubranych facetów siedzących nad szklanką whisky. Widziałem, że są samotni. W końcu dotarło do mnie, że należymy do tego samego klubu. I że to nie jest życie, którego chcę. Pojawiła się kolejna kobieta – chciałem z nią być, ale czułem, że nie potrafię stworzyć trwałego związku. Zaczęłem tęsknić za równowagą. Zdałem sobie sprawę, że mimo wszystko największy spokój wewnętrzny miałem jako dziecko. Znajdowałem go w modlitwie. Jako dorosły mężczyzna oddaliłem się od Boga.

TS: Postanowił pan Go odszukać?

AC: Właśnie. Chodziło mi o znalezienie innej drogi. A to oznaczało totalną zmianę. Odejście z firmy, inny styl życia, inne wartości.

TS: Trudno uwierzyć, że człowiek z dnia na dzień rezygnuje z dobrej posady, wysokiej pensji i luksusów, jakie się z tym wiąże...

AC: Rzeczywiście, tylko wariat zostawia coś takiego. No więc zachowałem się jak wariat. Na własne życzenie zostawiłem korporację. Uznałem, że wystarczy mi własna mała firma. Zarabianie już nie było takie ważne. Zaczęłem na nowo szukać Boga. Pewnego dnia kolega, członek kościoła protestanckiego, zagadnął: „Wpadnij do nas, zobaczysz, jak jest”. Poszedłem i zostałem.

TS: Zmiana, nowa droga – brzmi dobrze. Ale życie musiało się upomnieć o realia: napętnienie lodówki, baku w aucie...



Gość w dom...

Nie narażam rodziny. Kiedy gościmy skazanego, cały czas jestem w domu. No i... nigdy nie zapraszam silniejszych ode mnie.

AC: I to był trudny okres. Kobieta, o której wspominałem, została moją żoną, z jej dwiema córkami i moimi synami stworzyliśmy rodzinę. A firma przechodziła wzloty i upadki. Były miesiące, że musieliśmy przeżyć za trzy tysiące, jednocześnie spłacając długi. Ale wspieraliśmy się. Razem chodziliśmy do kościoła. Z perspektywy czasu wiem, że gdyby nie wsparcie Boga nie dałbym rady.

TS: Postanowił się pan odwzajemnić i zrobić coś dla Niego?

AC: Można tak powiedzieć. Któregoś razu przed świętami Bożego Narodzenia pastor ogłosił, że poszukuje chętnych, którzy pójną rozdać Biblię do więźniów w Białoleścu. Czułem, że muszę tam iść. Zgłosiłem się. Kiedy wchodziłem za bramę, okazało się, że razem ze mną idzie były gangster, który spędził w więzieniu ponad 20 lat i tam się nawrócił. A teraz jeździł i opowiadał o sobie

innym. Ja się nie odzywałem. Przyszło około 50 skazanych. Pamiętam wrażenie: nie potrafiłem widzieć w nich bandytów. Widziałem ludzi.

TS: To wystarczyło, żeby do nich wrócić?

AC: Tak. Pewnego dnia powiedziałem do ojca: Pójdiesz ze mną do „puchy”? Popatrzył na mnie, jakbym oszalał. A ja mówię: „Pójdziemy, opowiemy naszą historię z perspektywy ojca i syna. Myślę, że to może zmieniać ludziom życie”.

I on się zgodził. Najpierw chodziliśmy tam, gdzie siedzieli głównie uzależnieni. Tato dobrze znał temat, choć nie pije już 21 lat.

TS: Chwileczkę. Nad psychiką więźniów pracują spece i zawsze jest to długi proces. Pan sądził, że jedna opowieść może zmienić życie?

AC: A co szkodziło spróbować? Czułem, że po tym, co przeszedłem w dzieciństwie i życiu dorosłym, jestem wiarygodny. Różniło mnie od nich tylko to, że nie miałem wyroku. Pamiętam, jak w więzieniu w Barczewie podszedł do mnie facet, starszy gość: „Ty naprawdę pamiętasz tylko dwa udane lata ze swoim ojcem?”. „Tak” – odpowiedziałem, a on na to: „To dałeś mi nadzieję. Bo jak mnie zamykali kolejny raz, to w domu miałem wszystko rozwalone. Ale teraz widzę, że mam po co żyć, co naprawiać”. Przełomowe dla mnie było spotkanie w więzieniu na Rakowieckiej. Podszedł skazany, widzę, że trzęsą mu się ręce. Mówi: „Nie chcę wychodzić”. Dostał 12 lat za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, do odsiadki zostały mu cztery. I nie wie, jak będzie żył na wolności, boi się. Mówię: „No to właśnie masz czas, żeby się przygotować”. Gdy wychodziłem, podeszło kilku innych. Zapytali, czy przyjdę za tydzień. Myślę, że trafili do nich słowa o możliwości przygotowania się.

Fot. Getty Images Polska

TS: Dlaczego właśnie te?

AC: Bo dla skazanych moment, kiedy wychodzą, jest kluczowy. Niejeden mówi: wyjdę i się zmienię. Ale to już za późno. Po odsiadce zwykle wracają do miejsc, z których wyszli. Szukają pracy, a kiedy jej nie dostają, zgłaszają się do starych kumpli i wracają na złą drogę. Moją rolą jest przekonać, że można się zmienić jeszcze za kratami. Po tamtej rozmowie na Rakowieckiej zacząłem chodzić do więzienia raz, dwa razy w tygodniu. Ta służba zaczęła stanowić ważną część mojego życia. Na tyle ważną, że kiedy dostałem propozycję powrotu do korporacji, odmówiłem.

TS: Mimo braku finansowej stabilizacji?

AC: Zaufałem Bogu, że to się rozwiąże. Zna pani te słowa: Bóg nigdy nie włoży na twoje ramiona więcej, niż jesteś w stanie unieść. W firmie zaczęło się poprawiać, pojawiły się możliwości, które pozwalały mi utrzymać rodzinę. W końcu pastor zadał mi pytanie: może byś zrobił studia biblijne? Zdecydowałem się i dwa lata później dostałem nominację na kapelana więziennego.

TS: Co trzeba mieć, żeby trafić do ludzi, którzy mają na sumieniu najpoważniejsze zbrodnie?

AC: Po prostu rozmawiamy. Czasem słyszę: „Ja nie zasługuję na to, żeby mieć z Bogiem cokolwiek wspólnego, tyle złego narobiłem”. Daję wtedy Biblię: „Weź, poczytaj, tam znajdziesz informację, że Chrystus przyszedł do chorych jak lekarz. Nie do zdrowych, bo oni lekarza nie potrzebują. Przyszedł do ciebie”. Nieraz widziałem, jak twarżi faceci miękli, jak im łzy płynęły.

TS: Ten moment potrafisz sobie wyobrazić, ale trudniej mi uwierzyć, że wiedzie do niego prosta droga: przychodzę – rozmawiamy – on się nawraca. To takie łatwe?

AC: To nigdy nie jest łatwe. Nasze rozmowy trwają miesiącami – o życiu, o Bogu. Ci ludzie siedzą w więzieniu czasem 20 lat. Nam na wolności zdarzają się czasem spektakularne punkty zwrotne – przeżyjemy wypadek, pokonamy chorobę i mówimy: teraz zaczynam nowe życie, z Bogiem. Nawrócenia w więzieniu nie są widowiskowe. Wynikają z refleksji, do której trzeba zachęcić, z czytania Słowa, odnoszenia go do siebie. Trzeba cierpliwie pracować. A kiedy jest okazja, pokazywać własnym życiem, że ono może się toczyć tak, jak to się podoba Bogu.

TS: To dlatego zaprasza pan ludzi z wyrokami do własnego domu?

AC: Tak. Zaczęło się od Rafała, ma ksywę Kapsel. Poznałem go w więzieniu na Mokotowie, wiedziałem, że zaczął czytać Biblię. Po jakimś czasie został przeniesiony do Grójca, do zakładu półotwartego, gdzie mógł pracować. W takich miejscach skazanym zwykle przysługuje prawo do przepustek. Pewnego dnia zadzwonił: „Andrzej, zrobili wywiad w środowisku i mnie nie puszcza, bo tam jest patologia”. Pomyślałem i mówię: „To ja cię wezmę na przepustkę do siebie”.

TS: A w domu spokojne życie, żona i dzieci...

AC: W tym dwie córki nastolatki. Ale znałem Rafała dość długo, ufałem mu. Pojechałem do Grójca, zapakowałem go do samochodu. W drodze on wdycha: „Jak ja bym chciał spotkać się z synem...”. „No to dzwoń do żony, czy ci go da”. Zatrzęsła mu się broda, nie wierzył, że to możliwe. Ale żona się zgodziła i obaj z Dominikiem spędzili u nas całą przepustkę. Brałem Rafała do siebie przez ponad rok, co miesiąc, aż wyszedł na wolność. Dzisiaj nie pije, uczciwie pracuje, znów mieszka z rodziną. I jest ochrzczony.

TS: Przez pana?

AC: Tak, ale to była jego decyzja. Kiedy do nas przyjeżdżał, przyglądał się, jak żyjemy – że modlimy się przy posiłkach, że się szanujemy. W niedzielę szedł z nami do kościoła, chociaż jego współwięźniowie się śmiali: „Kapsel, łeb ci strzelił? Masz 30 godzin i do kościoła chodzisz?”. W grudniu siedzieliśmy razem na mszy, nagle pastor powiedział: „Może jest tu ktoś, kto czuje, że właśnie



Za kraty

Gdy długo nie jestem w „puszce”, brak mi jej. Sukces, że chłopaki nie lubią moich urlopów. Raz nawet zabrałem do więzienia córkę.

teraz chciałby się ochrzcić?”. Spuściłem głowę i modliłem się: „Panie, może to jest ten moment, kiedy Kapsel powinien to zrobić?”. Podnoszę wzrok, a ten kiwa głową, że idzie. Sam ochrzciłem go w baptysterium. Potem kolejnych. Bo zaczęliśmy brać do domu na przepustki także innych. Dwa lata temu ochrzciłem ojca.

TS: Kiedy udaje się zawrócić kogoś ze złej drogi, pan ma satysfakcję czy poczucie pokory?

AC: Mam pewność i oni mają pewność, że ich życie zmienia się nie ze względu na mnie. Tylko ze względu na to, że zaufali Bogu.

TS: Mówią o tym głośno, nie wstydzą się?

AC: Mówią. Kapsel był już ze mną w więzieniu i dał świadectwo wiary. Krzysiek, który wyszedł, ma kontakty z poprawczakami. Jest nas w sumie 11 osób. W tym dwie kobiety, żony skazanych. Zrobiła się z tego duża rzecz, promieniująca.

TS: Zdarzają się panu porażki?

AC: Na szczęście osoby, z którymi pracowałem, radzą sobie. Ale wiem, że dwóch ma kłopoty. Nie potrafią pokonać uzależnień.

TS: Pan się czuje za nich odpowiedzialny?

AC: Nie. Po prostu za każdym razem próbuję dać z siebie wszystko i albo ktoś z tego skorzysta, albo nie. Czasem przeżywam rozczarowanie. Kiedyś chłopak uciekł z więzienia tydzień przed tym, jak miałem go wziąć na przepustkę. Po dwóch dniach był już w ostrzejszym więzieniu, w Sztumie. Powiedział: to mnie nauczyło pokory, zobaczyłem, że w poprzednim miejscu nie miałem tak źle. Skończył szkołę, teraz pracuje, mieszka koło Londynu. Wyszedł na ludzi.

TS: Jak rodzina traktuje pana służbę?

AC: Starsza córka chciałaby mi pomagać. Kiedyś zabrałem ją do więzienia. Siedziała w poczekalni i to już było dla niej wielkie przeżycie. Dziewczyny zgłaszają się na wolontariat, a starszy syn, gdy nie mogłem odebrać czy odwiedzić kogoś z więzienia, nieraz sam wsiadał do samochodu. Bliscy dają mi przyzwolenie, wspierają. Lubią ludzi, którzy zjawiają się w naszym domu, traktują ich normalnie. Rodzina wie, że nigdy nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo. Śmieje się, że biorę do siebie tylko mniejszych ode mnie. Kiedy ich gościmy, zawsze jestem w domu.

TS: Córci to nastolatki. Naprawdę nigdy się nie zbuntowały?

AC: Jeżeli chodzi o więźniów – nigdy. Starsza jakieś trzy lata temu zaczęła podawać w wątpliwość istnienie Boga. Dużo o tym rozmawialiśmy, do niczego jej nie zmuszałem, ale chciałem, żeby mimo wątpliwości chodziła z nami do kościoła. Dzisiaj już nie ma wątpliwości.

TS: A od żony nie słyszy pan czasami: wołalbym, żebyśmy poszli do restauracji, a ty znowu jedziesz do więzienia...

AC: Żona sama ma swoją misję w kościele, pracuje z dziećmi. Założyliśmy Fundację Alfabet Doświadczeń, która m.in. będzie pomagać skazanym i ich rodzinom. Razem pracujemy w naszej firmie konsultingowo-szkoleniowej. Musimy zarabiać, ale biznes oddzielamy od służby. Ostatecznie zgodziłem się też być wiceprezesem w jednej spółce akcyjnej. Ale to nie jest korporacja, a w zarządzie mam wierzających kolegów, którzy rozumieją moje priorytety.

TS: Pana misja z pewnością generuje stres. Jak pan pomaga odpocząć psychice?

AC: Trenuję sporty siłowe, mam sprzęt w ogrodzie i na strychu. Stoї tam także fotel i biblioteczka. Mogę dźwigać ciężary albo czytać. Stres? Tak, ale gdy wyjeżdżamy na urlop i nie jestem dwa tygodnie w „puszce”, to mi tego brakuje. A jak chłopakom brakuje mnie! Tylko się cieszyć.

TS: To czego panu życzyć?

AC: Bożego błogosławieństwa. Jeśli ono jest, to wszystko jest.

Rozmawiała AGNIESZKA LITOROWICZ-SIEGERT